Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 28. Poznań, dnia 7. Października. 1839.

Literatura zagraniczna.

O Daguerotypie.

(Dokończenie.)

Oto jest krótki opis całego wynalazku:

„Tablica z miedzi pokryta srebrem oczyszczona dokładnie w roztworzonym kwasie siarczannym, wystawia się na dym jodu, którego mała ilość kładzie się na dnie puszki, gdzie się ta tablica z miedzi znajduje. Aby dym jodowy równo na tę tablicę mógł działać, umieszcza się między platą a jodem, gaza; dla téjże przyczyny i cała tablica oprawia się w metalowe ramki, gdyż inacéj dym jodu w większéj ilości zaległby po bokach tablicy, jak w środku, a właśnie całe udanie się obrazu najwięcéj na tem zależy, aby dym jodowy zupełnie równo osiadał na tablicy. Skoro tablica żółtą farbę przybierze, trzeba ją, strzegąc od najmniejszego wpływu światła, włożyć w skrzynkę płaską, któréj wieko za pomocą mechanicznego urządzenia wtenczas dopiero otworzyć można, kiedy skrzynka wsuniętą została w ognisko kamery. — Tablica ta pozostaje przez 8 — 10 minut w *camera obscura*, a przedmiot zewnętrzny odbija się na niéj. Wyjąwszy ją, nic nie dostrzeże i najlepsze oko dopóty, dopóki wystawiona nie jest w zamkniętem naczyniu na dym żywego srebra; położoną być musi pod kątem 45°. w naczyniu, a do ulotnienia żywego srebra trzeba 60 stopni ciepła podług R. Skoro to się stało, ukazuje się na tablicy, jakby czarodziejskim sposobem, w swéj całej piękności okolica, która odbijała się na niéj w *camera obscura*. Pozostaje wówczas tylko włożyć tablicę na czas krótki w wodę sodową połączoną z siarczanym kwasem, która najmocniéj działa na te części i odcienia całego obrazu, na które światło najmniéj wpływało, tak, jak dawniéj dym żywego srebra na te części najwięcéj działał, na które i światło najwięcéj było operowało. Możnaby więc z tego wnosić, iż jasne miejsca w obrazie powstają z połączenia się żywego srebra z srebrem, a cienie, przez zasiarczenie żywego srebra ową wodę sodową *(eau d'hyposulphide)*. Pan Arago jednak oświadczył w końcu, iż równie tego fenomenu, jak i innych przy Daguerotypie, fizyka, chemia i optyka dotąd wytłómaczyć nie potrafi. Wyjęta tablica z wody owéj kładzie się w dystylowaną wodę, a przez to rysunek trwałości takiéj nabiera, że wystawiony być może na światło bez uszkodzenia. Arago w dalszym ciągu swéj rozprawy nad tem się zastanawiał, czyby nie można w Daguerotypie nie tylko same przedmioty, lecz także naturalne ich farby przedstawiać; nie mniéj, czy i portretowanie w podanym sposobie, udaćby się mogło. Pierwsze zdaje mu się bardzo trudnem,*) drugie niepodobnem do wykonania. Przy Daguerotypie, jak już powiedziano, głównym warunkiem, jeżeli się obraz ma udać, jest, aby przedmiot najmniéj się nie ruszał, a przy twarzy wystawionéj na największe światło już samo mruganie oczami niepodobnemby czyniło wykończenie obrazu. Pan Daguerre chce zaradzić temu przez otoczenie ócz szkłem niebieskim; przez co zasłoniłyby się oczy od blasku światła, a szkło niebieskie, nie mające żadnego wpływu na tablicę w *camera obscura* będącą, niezmieniłoby obrazu.

Żałować trzeba, iż massa, z któréj są obrazy Daguerotypu, tak jest wietka i nie trwała, iż przez najmniejsze tarcie uszkodzone być mogą; późniéj zapewne wynaleziony będzie pokost, któryby mógł trwałem je uczynić, dopóki to nie nastąpi, Daguerotypowe obrazy, tylko pod szkłem utrzymywać się mogą, a Daguerotyp mało w podróżach przy zdejmowaniu okolic będzie mógł być używany. Nadmieniwszy p. Arago jeszcze o kilku fenomenach przez Daguerotyp odkrytych jak np. jest różnica wpływu słońca w rozmaitych godzinach dnia — moc światła księżyca w stósunku do mocy promieni słońca i t. d. wspomniał, jak w wielu przypadkach zastósować będzie można w fizyce Daguerotyp. Oprócz zastósowania w mierzeniu siły światła, może on

*) Podług pism angielskich niejakiś Road miał wynaleźć sposób przedstawiania przedmiotów w naturalnych ich farbach. — Wiadomość ta atoli dotąd nie potwierdziła się.

posłużyć także do rozwiązania wielu zjawień przy pryzmatycznych kolorach tęczowych; i tak wiemy n. p., że różne kolory tęczy są oddzielone czarnemi liniami okazującemi, że w tych miejscach nie ma kolorowych promieni. Czyliżby jednak na tych czarnych miejscach i chemicznych promieni słońca nie było? Do rozwiązania pytania tego, potrzebaby wystawić jednę z tablic p. Daguerra na wpływ pryzmatycznych farb. W końcu rozprawy swéj dodał Arago, iż p. Dumas, zapatrując się na obrazy p. Daguerra przez mikroskop, spostrzegł w wszystkich ich jasnych częściach małe białe kulki, mające objętość ósmsetnéj części millimetru."

Daguerotypy już obecnie dość są rozpowszechnione prawie w każdéj większéj stolicy znajdują się, sam Berlin ma ich już dziś kilka dziesiąt.*) Oby i w naszem kraju wraz z wynalazkiem Liepmana (o którem wkrótce obszerniejszą damy wiadomość) przyczyniły się do rozpowszechnienia zamiłowania malarstwa, które u nas jeszcze jest w kolebce.

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Samobójca.

X.: A znasz ty Ewangelią?
Podróżny: A znasz ty nieszczęście?
M.

I.

Dawno jak słońce zaszło i pogasły zorza,
Księżyc błądząc samotny, jak okręt śród morza,
Wypływał na błękicie iskrzącéj się fale,
I odbijał twarz bladą w cichych wód krysztale.
Ucichła wrzawa ludzi — zmilkły ptasząt pienia,
Tylko słychać w dolinie mruczenie strumienia,
Tylko słychać szmer liści, gdy w nie zefir trąci,
I gałązkę, gdy spadnie i źródło zamąci.
Śród skał, na których czole kilka jodeł rośnie,
Gdzie księżyc śród gałęzi wciska się ukośnie,
Gdzie pośród niepłodnego natury manowca
Rzadko zabłądzi noga strzelca lub wędrowca,
Błysł płomień — huk strzału odbił się o skały,
Echa go sobie dwakroć wzięły i oddały;
Nastąpił jęk skonania okropny. — —
— — — — — — — — —
Umilkło — tylko w dali nocną mąci ciszę,
Zdrój w dolinie i wietrzyk, co liście kołysze.

*) W Berlinie dotąd tylko Sachsego Daguerotypy są prawdziwie paryzkie, kosztują około 350 fr. — Tańsze, po 25 tal., w Berlinie robione, są tak złe, że ich wcale prawie używać nie można.

II.

Błysł poranek — chór ptasząt pierwsze wzniósł odgłosy,
Wstało słońce i w kroplach przegląda się rosy;
Każda kropla błyszcząca tysiącem farb świeci,
Nim w słonecznym promieniu do niebios uleci;
Każdy kwiat tchnie balsamem z wonnego kielicha,
Ziemia się do kochanka, do słońca uśmiecha.
Nie wszyscy się tym cudnym cieszyli widokiem,
Jeden go czuć nie umiał — przed drugiego wzrokiem
Znikł na długo — na wieki, ach! spojrzyj w dolinę,
Gdzie wystrzał wybił życia ostatnią godzinę,
Gdzie trafem czy umyślnie zebrał się tłum ludzi
Nad tym, co się już nigdy dla świata nie zbudzi.

III.

Nad brzegami strumienia w skrwawionéj odzieży,
Nieznanego młodzieńca martwe ciało leży,
Luby wiek, który pierwsze ideały marzy,
Już zaledwie rozpoznać można z szczątków twarzy.
Wystrzał zgruchotał szczękę i wysadził oko,
Rozbił czaszkę, krew z muzgiem rozrzucił szeroko.
Lecz w zeszpeconém licu widać zgrozy piętno,
I ten uśmiech rozpaczy, który myśl namiętną
Na własne dni skierował, i to przeświadczenie,
Że go już żadne ziemi nie dotknie zmartwienie.
Słońce z zagór zwiedzając dziką okolicę,
Spotkało półotwartą zmarłego źrenicę.
Próżno słońce blask złoty w jéj błękit rzuciło,
Padł promień, zgasł, oko już go nieodbiło.

IV.

Przy zmarłym leżał papier w połowie krwią zlany,
Nieznajomym językiem dla tłumu pisany,
Obok obraz niewiasty, w któréj boskie lica
Wpatrzył się raz ostatni przy blasku księżyca;
Daléj broń rozerwana, a któréj użycie
Świadczyło, że się targnął na własne swe życie.
Jakże dziwaczne zdania rozległy się w tłumie,
Ten przyczynę w zbłąkanym chce znaleść rozumie,
Ów w słabości umysłu, inny w braku wiary,
Ten w zasadach fałszywych, szerzonych bez kary;
Inny odmawia ziemskiéj ostatniéj przysługi,
Głupiém rozumowaniem lituje się drugi;
Inny znów, którym miota zabobonność wściekła,
Duszę na wieczne męki posyła do piekła;
Jeden tylko uczuciom nie umiał się bronić,
Nie wachał się nad zgasłym cichéj łzy uronić;
Czy go znał?.. nie — on tylko umiał czuć niedolę,
I on także w nieszczęścia wychował się szkole,
On także ciężkie bardzo przechodził koleje,
I wiedział, czém jest człowiek, gdy straci nadzieję.

V.

Tłum się rozbiegł, nie czując smutku ni wesela,
Ciekawość go skupiła — nieczułość rozdziela,
Pozostał jeden człowiek — i ten ręką bratnią
Nieszczęśliwemu oddał przysługę ostatnią,
Lecz kiedy garść ostatnią ziemi na grób rzucił,
Westchnął — i hymn pogrzebu w te słowa zanucił:

»Już on na wieki spoczął w zimném ziemi łonie,
»Śmierć nie odda ofiary, którą raz pochłonie,
»Już żaden dźwięk grobowéj nie przebudzi ciszy,
»Już on głosu miłego nigdy nie usłyszy;
»Nigdy nie zakosztuje zwodnych ponęt ziemi,
»Co wtenczas grób otwiera, gdy wiosny kwiat pleni,
»Już nie spojrzy ku niebu, ach! bo żadna siła
»Nie wskrzesi iskry życia, którą śmierć zgasiła,
»Żadna moc z piersi jego mogiły nie rzuci,
»Chyba go w dniu ostatnim Archanioł ocuci.«

VI.

Jak z rozbicia okrętu ocalone szczątki,
Tak po zgonie młodzieńca zostały pamiątki:
Piosneczka i obrazek — tak, to wszystko było,
Co go w ciernistém życiu, do życia wabiło,
To powieść jego uczuć — jego serca dzieje,
To życie, które lada marny wiatr rozwieje,
To myśli, które pierwszą nić młodości przędły,
To marzenia, co kwitły, lecz wkrótce uwiędły.

VII.

»Gdzież są me lata dziecinne?
»Moje ptaszki, moje kwiatki,
»Roje uciech, sny niewinne,
»Świat w objęciach czułéj matki,
»Bez tęsknoty dni tak wiele,
»Łza i uśmiech na przemiany,
»Kochający i kochany,
»Gdzież ciche moje wesele?
»Gdzież są me lata dziecinne?«

»Gdzież jesteś, wieku mój młody?
»Myśli pierwsza w świat rzucona,
»W świat złudzenia i przygody,
»Gdzież ogień wrzącego łona?
»Wzniosłych myśli pierwsze chwile,
»Cnoty, sławy i przyjaźni!
»Gdzież sny młodéj wyobraźni,
»A z niemi nadziei tyle?
»Gdzież jesteś wieku mój młody?«

»Gdzież miłość i jéj słodycze?
»Z róż i myrtów zwite wianki,
»I rozkosze tak niewinne,
»Gdzież serce mojéj kochanki?
»Pierwsza łezka — rąk ściśnienie,
»I te lube niepokoje,
»I to boskie zachwycenie.
»Ach! gdzież są uczucia moje?
»Gdzież miłość i jéj słodycze?
»Gdzież sława?«

VIII.

Pieśni daléj nie było, koniec był zniszczony.

IX.

W niewielkim i ubogim w ozdoby obrazku
Była postać kobiety, w całym wdzięków blasku,
Na ustach błądził uśmiech i powab pieszczoty,
Na ramiona spadały pięknych włosów sploty,
Na licach kwitła róża, a w całym uroku
Odbijał błękit niebios w najpiękniejszém oku.
Ona, zdaje się, była miłém snu zjawieniem,
Pierwszém uczuciem w życiu i pierwszém wrażeniem,
Osłodą i ozdobą splecionego wieńca,
Z niewielu dni szczęśliwych zgasłego młodzieńca.
Ona była mu gwiazdą na obłędném morzu,
Jéj promień mu przyświecał na życia bezdrożu.
Jéj obrazem dalekie ożywiał pustynie,
Do niéj wzniósł myśl ostatnią w ostatniéj godzinie,
I gdy świat sobie tworzył w miłości iskierce,
Dla czegoż krwi kropelka padła na jéj serce?
Onaż przyczyną zguby? . . nie . . to być nie może,
Bóg niemógł wad zostawić w tak cudnym utworze;
Ale raczéj ta postać anielska kobiety
Nie była dziełem ziemi, tylko snem poety,
Potrzebą duszy, pięknym życia ideałem,
Myślą wydartą Niebu młodzieńczym zapałem.
On jak drugi Pigmaleon z natury powicia
Dobył piękność, ukochał, lecz nie mógł wlać życia,
I szukał własnéj zguby — tak to trafu siła
Krwi kroplę w chwili zgonu na obraz rzuciła.

X.

Tyle tylko młodzieniec zostawił pamiątek.
Lecz dla czego wzniósł rękę na własnych dni wątek,
Czy obłąkaniem tknięty? — czy siłą rozpaczy?
Tego pewnie z śmiertelnych nikt nie wytłómaczy;
Być lub Niebyć, rozwiązał to trudne pytanie,
Bóg i świat go potępi — a jednakże na nie
Któż z pewnością odpowie? — czy lepiéj dla człeka,
Wisieć ponad przepaścią, w któréj śmierć go czeka,
Patrzeć na jéj okropność, trwożyć się i smucić,
I nie módz się z niéj dobyć i nieśmieć w nię rzucić;
Czy lepiéj przepaść zgłębić i skończyć cierpienia?
Tak — ależ głos wewnętrzny, to straszne sumienie,
Ta myśl wlepiona w umysł od chwili powicia,
Wstrzymuje dłoń zabójczą od własnego życia.

XI.

Czas w biegu wszystko niszczy — i ludzkie plemiona
Ziemia, jak czuła matka, przytula do łona;
Na grobie dawnych nowe wstają pokolenia,
Ledwo szczątki wydarte z nocy zapomnienia,
Odłamki dzikiéj zbrodni albo dzikszéj sławy,
Dzieje otrząsać muszą ze rdzy i kurzawy.
Któż wspomni o młodzieńcu, który znikł nieznany,
Daleko od stron lubych, w których był kochany.
Któż wspomni o młodzieńcu, nad którym w tę chwilę
Wiatr szumi i potrząsa trawą na mogile,
Nikt zapewne — on cicho przeżył młode lata,
Mało zrobił dla siebie, mniéj jeszcze dla świata,
Nie miał téj myśli twórczéj, któréj skrzydłem wzbity,
Mógłby się kiedy wynieść nad gmin pospolity.
Znikł w oceanie wieków, jak dźwięk śród przestrzeni,
Jak kwiat, dopiero w późnéj kwitnący jesieni,
Nie spojrzał w piękne niebo, listków nie rozwinął,
I zapachu nie wydał, i w wieczności zginął.

— *ski.*

Droga do piekła.

(Wyjątek z życia czarnoksiężnika Twardowskiego.)

........Tém goręcéj zaczął się modlić chłopiec, im czuł bardziéj zbliżanie się do piekła, nieoglądał się nawet na otaczające go przedmioty, których coraz liczba się zwiększała. Był to jednak ciekawy widok, gdyż do piekielnego gościńca szerokiego i przestronnego, mnóstwem ubocznych ścieżek, ciżba ludu dążyła.

Jedni jechali poszóstno w kolebkach złocistych, które ciągnęły zamiast koni, grzechy ich, w postaci ohydnych poczwar, ubranych w bogate rzędy, na których zamiast pereł świeciły się łzy ludzi i pot ludzki. Drugich ciągnął do piekła brzuch napchany, w którym widać było przejedzone wioski i zamki i kupy złota strawione i spokojność rodziny i wszystkie cnoty pochłonięte. Inni szli pijani, i zdawało im się, że przed niemi niosą kufę wybornego wina, na którą zmrużone, czerwone oczki zwracali miłośnie. Przed innemi znowu toczyły się dukaty po gościńcu, a oni usiłując je złapać, już, już je doganiając co chwila, szli tak z zaiskrzonym wzrokiem do piekła. Innych wabiąc wiodła czarnooka dziewczyna i coraz daléj, coraz daléj za sobą prowadziła. Gdy się odwracali, nie widać już było za niemi ich domu spokojnego, ich życia swobodnego, ich przeszłości złotéj, wahali się, lecz za skinieniem szalonéj dziewczyny biegli w otchłanie. A ona, gdy ustawali, spotnieli, znużeni, ukazywała im toczone ciałko białe, to pierś lubieżną, i tak ich wiodła — daléj a daléj.

Byli tacy, co patrząc w niebo, szli do piekła. Byli inni, co tylko ogony swych pań i poduszki panów niosąc, z nimi do piekła dążyli. Szli złodzieje, kradnąc po drodze, weseli, że się im nigdzie szubienice nie nawijały. Szły spierając się kobiety, jakieś z rozczochranym włosem, śpiewając piosnki swawolne, rzucając oczyma na przechodniów.

Był tam opasły opat z zamrużonem okiem, drzemiący spokojnie w krześle, które z nim nieśli do piekła niewidzialni słudzy. Szli tam i wielcy panowie, dumnie przeciskając się przez motłoch, gniotąc pod nogami jakichś biednych, co się z drogi wracali, a przed nimi nieśli szatani buławy i infuły i laski i senatorskie krzesła i tytuły cudzoziemskie. . . . . .

O! zaiste, był to widok jedyny; lecz chłopiec tak był swoją modlitwą zajęty, że nic a nic niewidział. Stawał już razem z tłumem u bram piekielnych, których zewnątrz nikt nie strzegł, owszem wystrojony odźwierny, przyjmował ukłonem i drzwi na oścież otwierał. . . . .

Co się działo w jego duszy.

(Drugi wyjątek z tegoż.)

„Nic mnie od tego nieodwiedzie,“ rzekł nakoniec, „razem postanowił. Jeśli w ręku szatana jest nauka i wiadomość rzeczy i władza nadludzka, jeśli on mnie niemi obdarzyć może, czemużbym mu się nieoddał?“ A naówczas powstało w jego duszy wspomnienie młodości, w szacie białéj niewinności, z wieńcem na głowie, wiarą w sercu, nadzieją na czole, miłością w piersi i rzekło mu: „Czyliż ci niedość wiary, nadziei i miłości?“ A Twardowski odpowiedział: „Niedość mi wiary bo wiara jest ślepa, niedość mi nadziei, bo ona zwodzi, niedość miłości, bo ona do niczego nie służy. Wiara chwieje się we mnie, upada nadzieja, miłość stygnie, muszę dać życiu zajęcie nowe, nową wiarę, nadzieję, i miłość rzeczy gminowi niewidzialnych. I powstała w duszy jego duma strojna w poważną czarną suknię z wieńcem lauru na skroni, z łańcuchem na piersi, z marszczkami na czole i rzekła: Wszystkie sposoby wzniesienia są dobre, byle się człowiek podniósł między robakiem, co się czołga, a człowiekiem, który nic wyższego nie pożąda nad to, czem jest i co posiada, nie ma różnicy. I znowu podniosła się w duszy pobożność z krzyżem w dłoni, okiem w niebie, łzami w oku i płacząc odezwała się do niego. — „Na cóż mnie opuszczasz, mistrzu, a zaprzedajesz się szatanowi dla sławy i dumy. Ażalim ci nie służyła, ażalim w pocie czoła, gdyś pracował, ja ci pracy i znoju nie słodziła? ażalim ci ukazując sprawiedliwość Bożą, nie wyjawiła tajemnicy świata? I czegoż ci trzeba więcéj? nad pociechę na ziemi i nadzieje przyszłego żywota, którą we mnie mieć mogłeś? i na cóż mnie opuszczasz, a rzucasz się w rozhukane morze namiętności?“ Ale głos pobożności zagłuszyła żądza sławy, z okiem zapalonem i rozstawionemi, jakby do pochwycenia świata ramionami, wołając: „Pragnę! pragnę! bodajbym żółci i octu napiła się, dawajcie mi napoju. Nie odwrócę ust od kielicha goryczy, bo pragnę, pragnę, pragnę napoju!“ Na ówczas jeszcze biała i czysta i cicha cnota powstała, i mówiła mu: „Odpychasz mnie od siebie, mistrzu, cóżem ci zrobiła? Czyliżem ci nie była osłodą w każdym kroku, czyliżem ci nie otarła potu z czoła i łzy z oka, czyliżem ci, jak wierna żona nie umaiła życia? Na cóż mnie dla nałożnicy odpychasz?“ i płakała. A na to znowu odpowiedziała żądza sławy: „Pragnę! pragnę!“ i cnota ucichła płacząc.

A gdy te mary przeszły, ukazały się dwa cienie białe na chmurkach jesiennych zstępujące na ziemię. I poznał w nich mistrz matkę i ojca. Oboje mieli gwiazdy na czole i palmy w ręku, jak święci męczennicy i

słodko mówili dwoma głosy, a jednemi słowy do syna: „O synu nasz! na cóż ci więcéj nauki, niż masz? myśmy jéj mniéj mieli, a przecież dość jéj nam było na dwa życia i na całą przyszłość. Bo jeśli chcesz szczęścia, szczęście ziemi jest w pokoju, miłości i rezygnacyi, nie w nauce; bo jeśli chcesz sławy, sława jest w cnocie i bohaterskiem poświęceniu się, nie w mądrości; bo jeśli chcesz rozkoszy, rozkosz jest w połączeniu dwóch dusz i serc; bo nauka jest przepaścią, któréj człowiek nie pochłonie, która człowieka poźre, jak drobnego robaka. Wiadomość złego i dobrego zgubiła pierwszych rodziców, zgubi każdego, kto dumnie z Bogiem chcąc się równać, zechce świat pojąć małą swoją duszą, w któréj ledwie się jego kątek odbić może. Na cóż ci synu nauka? Będziesz ją przeklinał potem. O synu nasz! na cóż odmieniasz drogę i idziesz do piekieł, z których już raz za łaską i pomocą Bożą wyrwany zostałeś. O synu nasz! zawróć się!“ I płakały cienie, a łzy ich padały na spaloną pragnieniem duszę mistrza, ale jéj nie nasyciły i wołała ciągle: „Pragnę! pragnę! nieodwrócę ust od octu i żółci, bylebym się napiła! pragnę, pragnę!“

W téj chwili Twardowski zwrócił oczy na gwiazdy i ujrzał, że się już miało ku północy. Zaczem wstał ze skały, którą zwano katedrą jego i poszedł na rozstajne drogi, gdzie już szatan na niego czatował. Nad drogą stał krzyż pochylony, stary, mchem obrosły, ze skrzypiącą chorągiewką, przewiązany kilkakroć pobożnemi fartuszkami wieśniaków, u jego stóp walały się połamane koła, kilka suchych gałęzi, leżał kamień w ziemię już zasunięty. W chwili, kiedy się ku temu miejscu mistrz zbliżał, pogodna noc jesienna zachmurzyła się, okryła szarą zasłoną i wiatr dąć zaczął groźniéj z północy, porywając i niosąc z sobą odłamki głosów, piasek, gałęzie i liście poschłe.

Mistrz obejrzał się. Od krzyża szło dróg cztery, w cztery świata strony. Ku południowi była droga rozkoszy szeroka i wygodna, na północ droga cierpień, na wschód droga nadziei, na zachód zgryzoty i rozpaczy. Wszystkie cztery były mocno ubite, i po wszystkich niósł wiatr kłęby piasku, okręcające się szybko, jak tanecznice na kiermaszu, strzelające w górę lub opadające na ziemię i rozsypujące się po drodze. Mistrz wyjął z kieszeni giermaka kredę święconą, świecę z wężowéj tłustości, wody kubek i kropidełko, księgę jakąś, kości trupie do nakadzania i czarnoksiężką laskę, czarno malowaną, na któréj świeciły białe kabalistyczne znaki. A zakreśliwszy na ziemi cyrkuł kredą, w którego środku był krzyż ów stary, zapalił świeczkę, położył kości przed sobą i jął wołać zaklęcia, które wiatr niósł na cztery rogi świata.

„Zły duchu!“ wołał językiem niezrozumiałym, złożonym z odłamków różnych dawnych języków, oto człowiek chce się oddać tobie, przybywaj i przynieś z sobą całą potęgę swoję, albowiem nie zaprzeda ci się za złoto, ani za rozkosz, ani za nic, prócz nauki i sławy. Pokaż mi drzewo wiadomości! przybywaj zły duchu, zaklinam cię, w imie wodza twego, który naprzód spadł z niebios, zaklinam cię przez twoje poniżenie, przez twoje męki, przez twoje nędzę i upokorzenie z woli Bożéj, abyś przybył i gotową ku tobie duszę Bogu odebrał. Wyzywam cię przez imiona wszystkich szatanów, straconych w dniu zwycięztwa, przez głębokości piekieł, przez ogień piekielny, przez wszystkie dusze, które wyszły z otchłani odkupione, przez wszystko coś cierpiał i cierpisz, przez wieczność cierpienia, która jest przed tobą. Wyzywam cię po raz, po dwa i po — trzy!! *J. J. Kraszewski.*

O historyi peryodycznéj literatury naukowéj w Polsce.

(Dalszy ciąg.)

Lecz nie sama tylko Warszawa była w tym czasie ogniskiem peryodycznéj literatury naukowéj. O kilkadziesiąt mil od niéj w mieście, które tak chlubne dziś ma wspomnienie w peryodycznéj literaturze naszéj, w Lesznie, mówię, Gottlob Efraim Herman, fizyk miejski w Bojanowie, i Ernest Jeremiasz Neifeld, lekarz leszniński, zaczęli wydawać pismo peryodyczne lekarskie pod tytułem: »*Primitiae physico-medicae, ab iis, qui in Polonia et extra eam medicinam faciunt, collectae. Lesnae typis Presserianis.*« Pisma tego wyszły podobno trzy tylko poszyty i więcéj ono się rozchodziło po Niemczech, niż u nas. Arnold chwali wybór i obrobienie w niem materyałów. My żałować musimy, że najmniejszego wpływu, ani na sztukę lekarską, ani na nauki i oświecenie narodowe nie wywarło. Inaczéj też być nie mogło, bo jakiegoż użytku dla kraju spodziewać się było można z pisma, pisanego w martwym języku, redagowanego od cudzoziemców?

Oto są wszystkie pisma peryodyczne treści naukowéj, które w Polsce za panowania monarchów z domu saskiego wychodziły. Jak mała liczba! a w téj małéj liczbie nie było ani jednego w ojczystéj mowie.

Okres II. Panowanie Stanisława Augusta.

Po Auguście III. wstąpił na tron polski, król, rodak. Ten sam Mizler, który już Polskę dwiema pismami peryodycznemi w niemieckim i łacińskim języku obdarzył, poznał, że teraz była właśnie pora wydawania pi-

sma peryodycznego treści naukowéj w ojczystym języku. Ale jak je wydawać, nieumiejąc po polsku? W tym kłopocie zwierza się z szczęśliwą tą myślą Jezuicie Franciszkowi Bohomolcowi, który świeżo wydał »Zbiór historyków polskich.« Bohomolec pochwycił skwapliwie myśl tę, a przybrawszy za współpracowników Jezuitę Nagurczewskiego, Minasowicza i kilku innych, zaczął wydawać w r. 1764 pierwsze polskie pismo peryodyczne pod tytułem: »*Monitor*.« Pismo to układane na wzór Spektatora angielskiego, z którego wiele artykułów na język polski przelewało, ściągnęło na siebie od razu uwagę całego narodu i stanowi w literaturze naszéj epokę. Dążność główna Monitora była poprawiać obyczaje współczesnych; wyszydza tedy dowcipnie wady całego narodu, szczególnych klas i osób, prostuje krzywe sądy o honorze, sławie, gościnności i t. p. powstaje przeciwko świętoszkom, dziwakom i zabobonnikom, obrzydza narodowi opilstwo, kosterstwo i t. p. Jestto zatem zbiór rozprawek z nauki moralnéj wypracowanych troskliwie, napisanych raz w tonie żartobliwym, drugi raz w poważnym, wedle potrzeby lub humoru autora. Wszędzie atoli przebija się dowcipne pióro autora Djabła w swojéj postaci. Brał on nieraz, i jego współpracownicy wzorki do Monitora z dziwaków, oryginałów, nabożnisiów, dewotek i t. p., jakiemi Warszawa za Stanisława Augusta napełnioną była, a obrazy jego były tak trafne, że publiczność poznawała natychmiast przedmioty wyszydzań Monitora. Redaktorowie jego nie chcąc przeto narażać się na gniew, albo zemstę obrażonych osób, ukrywali się pod przybranemi nazwiskami Neoklesa, Philandra, Ochotnickiego i t. d. Pismo to utrzymało się przez lat 20, to jest od roku 1764 — 1784. Wychodziło trzy razy na tydzień w ósemce, po cztery kartki na raz; słabą jego stroną były wiersze, niezmiernie chropowatością swą ucho drapiące. I gdyby kto redaktorów spytał: po co barbarzyńskie przekłady Od Horacego w piśmie, poświęconem wyłącznie poprawie obyczajów w narodzie, umieszczali, nie mogliby zapewne innéj dać odpowiedzi, jak: *natura horret vacuum*; czyli, dla zapełnienia czasem ćwiartki papieru. Że Monitor na tak długie, niesłychane w dziejach peryodycznéj literatury naszéj, życie zasługiwał, przekonają się czytelnicy pisma naszego z dwóch poniżéj umieszczonych wyjątków z niego. Ostrzedz atoli winniśmy, żeśmy w tem żadnego nie robili wyboru, ale owszem korzystali z pierwszéj, która nam w rękę wpadła, wiązki szacownego pisma tego.

„Mawiali starzy Polacy: gdzie wiele ceremonii, tam szczerości mało. To przysłowie naszemu najbardziéj wiekowi służy. Polityki i grzeczności więcéj jest u nas, ale mniéj rzetelności. Przedtem wojewoda wojewodę po prostu witał: jak się masz Panie Stanisławie? teraz między wieśniakami tylko został ten komplement, ludzie zaś lepiéj wychowani, mają wyborniejsze wyrażenia. Całuję nogi, upadam do stóp, uniżam się pod stopy, ścielę się pod nogi i t. d. Pożegnania zaś jeszcze grzeczniejsze: Oddaję mię wielkiéj łasce W. M. Pana; Jeżeli mogę w czem służyć, proszę mi poufale rozkazać i t. d. Któż nie widzi, że grzeczniejsi jesteśmy, niż nasi pradziadowie? jak piękne słowa! jak miłe oświadczenia! Prawda, iż to z jakiegoś nałogu same usta wymawiają, nieporadziwszy się nawet rozumu; prawda i to, że przeciwko tym ustnym wyrażeniom serce częstokroć protestuje, ale mniejsza o to: grzecznymi bardziéj, niż rzetelnymi pokazać się wolimy. Rzetelność prostoty, a grzeczność dobrego gustu jest znakiem. Za panowania Zygmunta III. Mniszek, wojewoda sandomirski wydawszy swą córkę za Dymitra, gdy ją na tron moskiewski wyprawował w obecności króla, rzekł do niéj: Maryno, pokłoń się Królowi Jmci! O jakieby to dziś grubiaństwo było, gdyby do tak godnéj damy śmiał który ojciec z podobnym odezwać się komplementem! Stryjkowski, historyk litewski, wojewodzankę krakowską nazywa dziewką wojewody krakowskiego; za naszych czasów o tem niesłychać, chyba między chłopami na wsi, i to dalekiéj od Warszawy.“

„U dawnych Polaków najpierwszych był tytuł: bracie; poczekawszy trochę przydano panie bracie. Powiększono potem i mówiono Mości panie bracie. W dalszym czasie i to już nie służyło, jak tylko uboższym; mówiono: Wasza miłość, a potem: Wasza Mość. Późniéjszych wieków znaleźli się między Polakami: Wielmożni, po nich nastąpili; Jaśnie Wielmożni i Jaśnie Oświeceni. Stryjkowski nie daje wojewodom innego tytułu, jak tylko Wielmożny. Dzisiaj nie mało znajdziemy takich, których choćaż i Wielmożnymi nie można sprawiedliwie nazwać, dopominają się jednak Jaśnéj Wielmożności.“

„Dziwna rzecz jest, że lubo dzisiejsi Polacy bogatsi nad dawnych w tytuły, przecież daleko są pokorniejsi, niż oni. Tamci albowiem nie podpisywali się w listach, jak tylko bratem, potem powolnym sługą; dzisiejsi zaś najniższymi sługami i podnożkami, nakoniec mają za honor być podnożkami. Inaczéj nie byłby list ważny tego wieku. To tylko mi się nie podoba, że ten jegomość, który za honor poczyta pisać się moim sługą i podnóżkiem, gniewałby się, gdybym go nie nazwał dobrodziejem moim, i jeszcze oso-

bliwym, lubo mi nic dobrego w całem życiu swojem nie uczynił.“

„Horacyusz prosty szlachcic, a podobno i nie szlachcic i ubogi, pisze do Mecenasa: *Te dulcis amice revisam*. Odwiedzę Ciebie, miły Przyjacielu. Ten Mecenas był drugą osobą w państwie rzymskiem, to jest, był znaczniejszy i mocniejszy, niż wielu królów wieku późniejszego. Gdyby on odżył i w tymże u świata był szacunku, niewiem, jakiby mu tytuł dawali nasi Polacy. Musieliby wynaleźć coś grzeczniejszego nad Jaśnie Oświecony, ba i nad *Monseigneur, Votre Altesse*; lubo te tytuły mają większą moc i powagę, niż nasze, bo są w obcym języku.“

„Zwyczaj dawania wymyślnych tytułów wprowadzony jest do Europy z Azyi. Tam wszyscy królowie byli i są bracią rodzonemi słońca i księżyca. Gubernator ich prowincyi, który się mianuje małmazyą pociechy i różą rozkoszy, byłby uduszony, gdyby choć w dziesiątym stopniu chciał być krewnym słońca lub księżyca.“

„Pewny z Grandów portugalskich rozmawiając z grandem hiszpańskim prawie co słowo dawał mu tytuł: Wasza Jasność. Przeciwnie Hiszpan nie dawał mu innego tytułu, jak tylko: Wasza Grzeczność, co tylko prostym ludziom służy. Urażony tem Portugalczyk nazywa wzajemnie Hiszpana Waszą Grzecznością. Hiszpan wtenczas zaczął mu dawać tytuł Jasności. Zdziwiony Portugalczyk spyta Hiszpana, za co mi dajesz tytuł Jasności wtenczas, gdy ja ciebie Grzecznością mianuję. Hiszpan mu na to odpowie z pokorą: u mnie wszystkie tytuły są równe, bylebyś ty nie miał nic zemną równego.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Korrespondencya.

List, którego tu czytelnikom naszym udzielamy, pisany jest przez młodego malarza Fabiana Sarneckiego do jednego z dawniejszych jego nauczycieli i przyjaciół, p. pr. M., który był tak łaskaw nam go zakommunikować. Fabian Sarnecki urodził się w W. X. Poznańskim. Ukończył chlubnie szkoły w Poznaniu i chciał się poświęcić filologii, ale za radą przyjaciół, obrał sobie zawód malarza, okazując już od dzieciństwa talent do téj sztuki. Pracując przez lat trzy w Poznaniu, zebrał sobie kapitalik, z którym się udał do Berlina, gdzie ćwiczył się w Akademii rysunków, ztamtąd zawędrował do Drezna i w reszcie do Francyi. Dziesięć lat bawił w Paryżu i we Francyi północnéj, utrzymując się swym pędzlem i paletą, a teraz już od dwóch lat bawi we Włoszech. W liście tym opisuje pan Sarnecki obchód kanonizacyi w Rzymie w Maju odbytéj; okoliczność tę, jako już dawniéj z Gazet czytelnikom znajomą, opuszczamy. W dalszym ciągu tak mówi o okolicach Rzymu:

»Wróciłem przed kilku dniami z małéj wycieczki w okolice Rzymu, lecz wkrótce wędrówkę tę powtórzę w celu zbogacenia méj sztuki, dla któréj się tu tysiączne odkrywają zasoby. Powodem podróży było święto jakieś w miasteczku Genzano. Udałem się tedy prosto z Rzymu do Albano, miejsca wsławionego pięknością kobiet i nadobnym ich ubiorem, i przekonałem się w istocie, że pogłoska nie przewyższa bynajmniéj rzeczywistości. Z towarzyszem moim, artystą francuzkim, dawnym pensyonarzem akademii, świadomym doskonale okolicy, puściliśmy się drogą Appiusza, wiodącą do starodawnéj Alby, a dzisiejszego Albano, siedliska ludu wojennego. Wychodząc przez porta Capena, napotyka się dużo starożytnych pomników, jako to: grotę poświęconą Nimfie Egeryi przez Numę Pompiliusza, (?) katakomby lub pieczary, do których się pierwsi Chrześcianie przed wściekłością Cezarów chronili; wielki Cyrk Antonina Caracalli; grobowiec Cecylii Metelli pięknie zbudowany; grobowiec Horacyi, siostry trzech Horacyuszów, z których jeden los Alby i Rzymu rozstrzygnał, i tysiąc innych pomników mniéj znanych, które na mil 14 płaszczyznę okrywają. Widzieć tu jeszcze można świątynią Boga Śmiechu doskonale zachowaną, a wystawioną za czasów Hannibala, ponieważ nieprzyjaciel bez stoczenia boju od murów miasta odstąpił. Po dobréj wieczerzy w Albano, zatrzymaliśmy się w Arycyi, leżącéj tuż przy Genzano, gdzieśmy się uroczystości przypatrzyć mieli. Była to rzecz nadzwyczaj ciekawa. Zgromadziło się na owo święto wiele ludu z krain okolicznych, których mieszkańce nie tylko ubiorem między sobą się różnią, ale nawet fizyonomią i postawą. Wszystkiegośmy tam mieli zadosyć, i brzęku dzwonów, i huk armat, i fajerwerków; lecz co jest najinteresowniejszém i najciekawszém, co mnóstwo cudzoziemców na to święto corok sprowadzać zwykło, był pyszny kobierzec z kwiatów, który ścielą po główniejszych ulicach, przez które processya przechodzi. Ulice są tutaj bardzo szerokie, co w południowych krajach nie jest zwyczajném, jak gdyby naumyślnie dla podobnych świąt zbudowane były. Układają tedy na całéj szerokości i długości ulicy rozmaite rysunki i desenie, podług wzorów, które przed tém przygotowano, i na nich ścielą kwiaty i liście różnego koloru i kształtu, jak tego przedmiot wymaga; tworzą się ztąd śliczne mozajkowane obrazy, malujące żywemi farbami najrozmaitsze przedmioty. Kilka dni zabawiliśmy się w Arycyi, którą Horacy w jednéj z swych satyr wspomina, a ztamtąd odwiedziłem miasteczko Nemy. Samo miasto leży na wysokiéj i spadzistéj skale, tuż pod nią błyszczy jezioro i rozciąga się płaszczyzna, w głębi ujrzysz całą pyszną Campagna di Roma, i z jednéj strony rozległe nieprzejrzane morze, a z drugiéj strome Appeninów brzegi. Jeśli się w boski ten widok zatopisz, wtedy Ci słowa zemrą na ustach i nieme tylko podziwienie wytęży Ci oko; nie, żadna sztuka, nigdy duch ludzki podobnych tworzyć obrazów nie zdoła. Lecz jakże się zdziwisz, gdy na rozkosznem tém miejscu ujrzysz się otoczonym od zgłupiałego ludu, który na Cię patrzy, jak na cudo jakie, nie zważając na cuda, któremi go przyrodzenie otoczyło, i w pokornéj postawie żebrze o pół bajoka wśród żyznéj i bogatéj natury. Ztamtąd, ukończywszy kilka rysunków, poszliśmy do Marino, z Marino do Grotta Ferrata, klasztoru oszańcowanego, sławnego freskami Dominichina, osobliwie jego arcydziełem: Franciszek Święty leczący opętanego. Po długiéj w reszcie wędrówce w górach, obchodząc wciąż la Campagna di Roma i jezioro Albano (lacus Albanus), usadowiliśmy się w najrozkoszniejszéj okolicy, w miasteczku Frascati, zbudowaném tuż przy gruzach starożytnego Tusculum. Codzień wchodziliśmy na wierzchołek góry, na któréj się Tusculum wznosiło; prowadzi doń jeszcze droga rzymska, z dużych, trzy stopy szerokich kamieni złożona, która zapewne aż do sądu ostatecznego trwać będzie, chociaż bowiem już blizko lat 2000, jak ją zbudowano, tak jeszcze wygląda, jak gdyby nową była. Przy wierzchołku góry wchodzi się w ulice Tuskulańskie, brukowane tym samym zupełnie sposobem. Ujrzysz tam kilka fontan, teatr na pół odkopany, mnóstwo domów zawalonych, zasypanych ziemią i wysokiemi

drzewy obrosłych; tak to natura pracuje nad zniszczeniem dzieł ludzkich. Mchy i porosty osadzają się najprzód na gruzach i murach opuszczonych, potém je bujna trawa okryje, w reszcie gdy już dosyć na nich pożywienia, wyrastają drzewka szczególniéj figi i dąbek zielony. Zarośla te i drzewka rozwalają swemi korzeniami nie tylko mury, lecz nawet bloki z granitu; potém wszelakie inne drzewa rosnąć zaczynają, i tym sposobem pokrywa się ruina i spoczywa w łonie ziemi; aż późniéj z zadziwieniem człowiek pod lasem i zaroślem, kopiąc, odkryje miasto dawniéj tak zaludnione, pełne przepysznych pałaców, rozkosznych willi, strojnych w posągi i rzeźby, których my już doścignąć nie potrafim. Grzebiąc z mym towarzyszem, osobliwie w miejscu gdzie stała piękna jakaś budowa, znaleśliśmy kawałki muru malowanego enkaustycznym sposobem, koloru piękniejszego jak najcudniejszy karmin na świecie; wziąłem z sobą kilka kawałków ozdobionych malemi wypukłemi figurami; wydobyliśmy także szczątki różnych ornamentów glinianych w ślicznych deseniach. Mury są poczęści powleczone mięszaniną gipsu i cienkiego żwiru na warszcie puzzolany, po wierzchu jak szkło wygładzone, malowane najżywszemi farbami, które dziś jeszcze są tak świeże i piękne, jak gdyby ich wczoraj był kto dopiero używał. Zrobiliśmy tam kilka rysunków osobliwie podług staréj jakiéjś fontany nadzwyczaj ciekawéj i pięknéj. Nie schodzi wprawdzie w samym Rzymie na pysznych, starożytnych pomnikach, pełno tam teatrów, świątyń, grobowców i cyrków (nowy Rzym jest tylko mieściną w porównaniu z témi niezmiernemi ruinami), ale to właśnie jest najinteressowniejsze w gruzach Tuskulańskich, że wiele tam jeszcze widzieć można szczątków mieszkań prywatnych (które w samym Rzymie już dawno zaginęły) i przypatrzyć się niejako domowemu życiu starych Rzymian. Między innemi pokazują dużą ruinę nazwaną Scuola di Cicerone (szkoła Cycerona), w któréj sławny ten mówca miał wykładać swym uczniom zasady retoryki. Chodziłem po témże samém miejscu, gdzie i on się dawniéj przechadzał, a kto wie czy kawałki muru, które z sobą wziąłem, nie są szczątkami jego mieszkania. Ale czas już będzie zapewne skończyć moje bajki, może i tak już długą litanią Pana znudziłem. Wybacz mi Pan, jeśli jest mało związku w całéj osnowie, bo list ten dorywkowo i potrosze był pisany, a pisząc go do przyjaciela, mniéj zważałem na formę. *F. Sarnecki.«*

Doniesienia literackie.

M. B. Skotnicki zapowiedział w Warszawie Prace literackie w kilku tomach, mające zawierać: różne gatunki poezyi, powieści oryginalne i tłómaczone, sztuki dramatyczne; między innemi także opis smętarzy warszawskich. Tom pierwszy wyjdzie około połowy Października r. b.

Znany z swych pięknych prac prof. Kokular w Warszawie, wykończył świeżo piękny wielki obraz oryginalny, Trójcy S. dla jednego z kościołów Warszawskich.

Pan Józef Zochowski, piszący rozprawy fizyczne do Tygodnika petersburskiego i Gazety codziennéj w Warszawie, ogłasza w pierwszem pismie Prospekt na obszerne dzieło fizyczne w sześciu tomach. Pierwsze dwa tomy wystawią obraz fizyki istniejącéj, drugie dwa krytykę fizyki; ostatnie dwa będą zawierały fizykę nową pod względem zasad i porządku. Z pierwszych dwóch tomów jeden będzie obejmował mechanikę i cieplik; drugi naukę o świetle, elektryczności, magnetyzmie i elektro-magnetyzmie. Z tomów obejmujących krytykę fizyki, pierwszy będzie rozbierał zasady fizyki istniejącéj, drugi metodę dotąd używaną. Nareszcie fizyka nowa będzie to meteorologia, na faktach i doświadczeniu wsparta i podzieli się na dwa tomy; każdy z nich będzie obejmował ksiąg trzy i wyjdzie pod tytułem: »Układu świata fizycznego ksiąg sześcioro.« Każdy widzi (mówi autor), iż taki ogrom pracy ani może być od razu wyrobionym, ani z przyczyny kosztów, wydanym. Rozdzieliłem więc tę pracę i będę wydawał po tomie. Ogłasza się przeto prenumerata na pierwszy tom z dołączeniem figur do tego potrzebnych; kosztować będzie półtora rubla srebrem. Ostatni termin dla szan. prenum. jest nowy-rok 1840. W Poznaniu przyjmuje prenumeratę księgarnia Stefańskiego.

W ostatnich Nrach Tygodnika petersburskiego są dwie krytyki ważne pana J. E. herbu G. zapewne jakiego wileńskiego literata o literaturze szalonéj, który wcale naturalnie i trafnie rozwija swoje pomysły o tem osobliwszem zjawisku. Powtóre artykuł p. Michała Grabowskiego, oceniający prace literackie wydane przez Borkowskiego. Sławny krytyk zgadza się powiększéj części z zdaniem naszem w Tygodniku literackim wynurzonym, wyjąwszy co do powieści pana Magnuszewskiego, którą gani.

Na bibliotekarza do księgozbioru imienia Ossolińskich we Lwowie ma przybyć pan Kłodziński. Może się z nim rozpocznie przerwana tego zakładu działalność. (Z prywatnéj koresp.)

Druk gramatyki polskiéj dla Czechów przez Hankego już blizki ukończenia. Poświęcił ją autor p. A. Rościszewskiemu.

W Warszawie wyszło nowe dziełko: Rozrywki na długie wieczory, przez wydawcę Piasta, z 83 obrazkami.

Znany skrzypek i kompozytor Serwaczyński po długiéj niebytności przybył do Lwowa i osiędzie tamże.

W Strasburgu wyszły: Gedichte aus dem ungedruckten Nachlasse des Grafen August v. Platten-Hallermünd. Zbiór ten zawiera pieśni w r. 1831. i 32. pisane i mające styczność z Polską. Między wielu pięknemi poezyami zajęła nas szczególnie swą poetycznością, uczuciem i elegicznością pieśń Matki zaczynająca się od zwrotki

Schlaf ein, du weißt ja nicht, mein Kind
Warum du weinst;
Schlaf ein, ich will den wahren Schmerz
Dich lehren einst.

Redakcya proszona jest od pewnego z księgarzy w jedném stołecznem mieście o doniesienie, iż biblioteka składająca się z 1124 dzieł z historyi Polskiéj, pod nader korzystnemi warunkami jest do nabycia. O bliższych szczegółach chętnie redakcya każdego zgłaszającego się do niéj uwiadomi, i katalog téjże biblioteki przedłoży.

W téj chwili wyszły i są do nabycia w księgarni *W. Stefańskiego*: Pieśni K. N. Wysockiego. Zeszyt pierwszy zawierający: 1) Chłopiec i dziewczyna. 2) Modlitwa sieroty. Cena 1 Złp.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca na ten kwartał 1 Talar, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*